Zajmujące czytanki ilustrowane.

Michał Synoradzki

NASZE PODANIA DZIEJOWE.

HISTORYA SŁOWIAN

z mapką i rysunkami

Wydawnictwo M. ARCTA w Warszawie.

DRUKARNIA M. ARCTA W WARSZAWIE, ORDYNACKA 3.
1910

SŁOWO WSTĘPNE.

Zaistnienie każdego narodu posiada dzieje mgliste, niepewne, przepełnione zmyśleniami, wśród których dopiero uczony badacz musi roztropnie poszukiwać ziarn prawdy, kierując się wskazówkami, dostarczonemi przez ludzi nauki. Łatwo zrozumieć, skąd pochodzi owo zafałszowanie dziejów. Wtedy one stają się wiarogodnemi, kiedy naród już się zwiąże w całość społeczną, kiedy dojdzie do tego stopnia cywilizacyi, że potrafi dobre i złe losy swoje przekazywać potomności za pomocą odpowiednich świadectw piśmiennych.

Naród młodociany okrywa długo ciemność umysłowa. Czuje i on potrzebę przekazania dalszym pokoleniom losów swoich, dla ich nauki; czuje potrzebę utrwalenia w pamięci pokoleń znakomitych swoich mężów, którym zawdzięcza powstanie, wzrost, rozwój, potęgę; czuje wreszcie potrzebę uskarżenia się na krzywdy, w ciągu istności swej doznawane: ale nie rozporządza środkami po temu. Żywe słowo — oto jedyny środek narodów młodocianych do przekazywania dziejów potomności. Jakoż ojcowie synom snują opowieści, stresz-

czające ich lata, synowie powtarzają to swoim następcom, przydając do dziejów ojcowskich własne, i w taki sposób tworzą się żywe dzieje, aż do czasu, dopóki słowa żywego nie zastąpi trwalsze i pewniejsze słowo pisane. Często też przekazywaniem dziejów potomności zajmują się poeci zawodowi — gęślarze, tworzą oni rapsody dziejowe i chodząc od sadyby do sadyby, śpiewają je podczas uroczystości rodzinnych lub narodowych, przy dźwiękach gęśli.

Dzieje przeto powstają jednocześnie z narodem, — ale ponieważ umysł człowieka zawsze jest skłonny do ubarwień wypadków, zwłaszcza umysł nie zdający sobie sprawy, jak wielką ma doniosłość dla ludzkości czysta, szczera prawda: więc syn, opowiadając następcy swemu dzieje ojców, też je zabarwia, upiększa, przekształca nie z umysłu, ale wprost z popędu naturalnego, bądź też wiedziony sympatyą dla jednego bohatera, a niechęcią dla innego.

W ten oto sposób zwykli śmiertelnicy wyrastają na olbrzymów, zwykłe zdarzenie przybiera pozór fantastyczny. Zabobonność, nieodłączna od wieku ciemnoty, wypełnia opowieści istotami nadprzyrodzonemi, wypadkami nadzwyczajnemi, słowem — dana postać, dane zdarzenie przeistacza się niemal na baśń. Tą drogą zjawili się w dziejach Grecyi Cyklopi, Giganci, Herkulesi, u nas — Lechowie, Krakowie, Popiele i tym podobni.

Wszelako owe dzieje bajeczne narodów posiadają wartość poważną, bo z nich dowiadujemy się nietylko o losach danego narodu, lecz o jego zwyczajach, obyczajach, wierzeniach, prawach, poznajemy jego umysł i serce. Trzeba tylko umieć odłączyć prawdę od zmyślenia, trzeba ze spowicia fantazyi wydobyć istotną prawdę, a przeszłość stanie przed nami, jak żywa. Przeto

podania dziejowe, acz niepewne, przepełnione zmyśleniami, szanować należy jako puściznę po ojcach i jako



wątek, który może nas doprowadzić do wyjaśnienia zagadnień pierwszorzędnego znaczenia.

Żeby jednak z owych opowieści pożytek wyciągnąć, należy je poprzedzić opowieścią inną, ściśle historyczną,

za znakomitym dziejopisarzem, Juljanem Bartoszewiczem powtórzoną, o tem—jak i gdzie rozsiedlili się praojcowie nasi, Słowianie, w Europie, w chwili zarania dziejów naszych.

W pierwszych wiekach po Narodzeniu Chrystusa, Europa północna dzieliła się na dwie wielkie połowy. Germania ciągnęła się na zachód, ku Renowi, Sarmacya, a jak ją dawniej jeszcze zwano — Scytya, szła od Wisły na wschód, za Bug i Niemen. W jednej i drugiej połowie mieszkały rozmaite, pomieszane z sobą narody, czyli r z e s z e; zatem nazwiska Germanii i Sarmacyi były tylko geograficzne, naukowe, nie oznaczały plemion.

Zarówno w Germanii, jak i w Sarmacyi, swarzyły się z sobą często narody, które stąd i stamtąd spływały wyprawami na bogate Cesarstwo Rzymskie. Więc była pomiędzy niemi albo różnica plemion, albo istniały jakieś zawiści stare. Zresztą rozmaite nas o tych krainach dochodzą powieści, z których jednak nic stanowczego wywnioskować nie można. To pewna, że Rzymianie oddawna znali ujścia Wisły na pobrzeżu Baltyckiem i że otrzymywali z nich bursztyn.

Na tem właśnie pobrzeżu mieszkali Wenedowie, naród wielki, ani germański, ani sarmacki, który nawet morzu nadawał swoje nazwisko, bo Rzymianie zwali Baltyk: morzem Wenedyckiem. Nie byli jednak Wenedowie sami na tem pobrzeżu, obok nich rzesza innych ludów zajmowała sąsiednią ziemię; ale Wenedowie byli wśród nich najpotężniejsi, wysunęli się nawet głębiej ku Wiśle, nachylili się ku Karpatom.

Późniejsze słowiańskie plemiona zajmowały ziemie nad Dunajem, ale północnym kresem swoim zachodziły w Germanię i Sarmacyę. Stary to, wielki naród, stare plemię, bo sięga pierwszych niemal wspomnień historyi. Na tych samych miejscach, na których dziś jeszcze istnieje, mieszkał ten naród przed zorzą czasów historycznych, pod nazwą Getów i Daków, na południu. W pomroce dziejów tedy już widać przodków naszych nad Dunajem, nad źródłami Wisły, po obydwóch stronach Karpat. Gdzieś w Germanii, pomiędzy Wisłą a Odrą od zachodu, niknęły granice naszego plemienia. Ale więcej się wówczas rozciągało plemię nasze ku południowi, niż ku północy, gdyż północ mało była znana, mało zaludniona. Z powodu tego nacisku na południe, częste stosunki i krwawe wojny trwały pomiędzy Rzymianami a Słowianami w Iliryi, Dalmacyi i Panonii.

Na ową wielką, nieznaną północ, za Karpaty ciągnęły w pierwszych wiekach po Chrystusie narody Daków i Getów, praojcowie Słowian. Oręż rzymski do tej wędrówki ich zmuszał. Długie lata ścierał się Decebal, władca ich, z cesarzem rzymskim Trajanem, wreszcie uległ. Skarby na dnie rzeki zakopał, a sam się zabił. Naród, znękany wojną, postanowił kraj opuścić i wolność z narodowością unieść do bezpieczniejszych krain, dalekich od sąsiedztwa z Rzymianami. Rozprysł się tedy w różne strony. Dzieci i starce, mężowie i niewiasty unosili dostatki, pędzili przed sobą trzody. Zwycięzcy nie stawiali im żadnej przeszkody, zajmowali po nich w Dacyi puste miejsca, do których zaraz z cesarstwa nasyłali osadników.

Nie wyszło to na dobre Rzymianom. Niebawem spostrzegli, że Dakowie zasłaniali ich od dziczy północnej,

która zajmowała przestrzenie po za Dunajem. Już następca Trajana, Adryan, myślał się wyrzec nowozdobytych posiadłości, ale ponieważ mu wstyd było, więc przynajmniej zniszczył słynny most na Dunaju, dzieło Trajana. Zdobywca przez ten most potęgę rzymską na Daków prowadził. Adryan zaś nie chciał, żeby most ułatwiał barbarzyńcom przeprawę do środkowych prowincyj rzymskich.

Upadek Daków sprawił wielkie wrażenie na ludach północnych; po stepach i puszczach rozległ się głos Decebala przestrogą, że co dzisiaj jego spotkało, jutro innych czeka. Więc nawałnice zahuczały nad Dunajem, Rzymianie zwolna się cofali, wreszcie po 160 latach opuścili ziemię niegdyś Decebala.

Wspaniałym, pełnym poezyi jest ten ustęp z dziejów Daków, kiedy opuszczają kraj swój, zagrożeni niewolą. Z jednego brzegu Dunaju przenieśli się na drugi, w blizkie sąsiedztwo. Chociaż nie wszyscy opuścili ojczyznę, musiał jednak tłum być wielki tych, co wychodzili. Rozległe niwy, aż pod Karpaty, leżały dla nich otworem. Mieszkała na nich ludność jednej z Dakami krwi i jednej mowy, ale zamało jej było dla ziemi. Więc wychodźcy spływali nową krwią w żyły swego narodu, swoich braci, którym na gościnności nie zbywało. Rozchyliły się granice słowu naszemu. Parło ono równie nad Wisłę i nad Dniestr. Plemiona obce — Jazygów, Bastarnów, Peucynów, Spalów, albo ustępowały przed wychodźcami, albo się zwracały ku rzymskim prowincyom.

Rdzenną wówczas ziemią, jakby ojczyzną całego niemal plemienia słowiańskiego, stały się obydwie strony Karpat, jedna od południa, a druga od północy, wzdłuż Wisły. Ongi w tych stronach dawno osiadło plemię

nasze, bo jeszcze przed Chrystusem, w kraju nadwiślańskim graniczyło z narodami niemieckiemi, które się włóczyły tam i napowrót. Później ten kraj nadwiślański, w okresie wędrówek narodów, wciąż był podobny do wielkiego rojowiska ludów. Przez Karpaty, przez te stare ojców siedziby nad Wisłą, posuwały się w dal niezmierną ludy słowiańskie ku morzu, ku Odrze i Łabie,



parły w górę na zachód, rozlewały się za Bug i Narew. Lecz podkarpacka ziemia pozostała rdzenną, arcysłowiańską, ogniskiem życia słowiańskiego, w niej uderzało serce plemienia, tu przemieszkiwał najdawniejszy, najwięcej wyrobiony, najdzielniejszy lud słowiański.

Słowianie podkarpaccy, najmniej obcym napastnictwom dostępni, zawsze samodzielni, od gór brali swoje ściśle miejscowe nazwisko. Rzymianie jeszcze znali Karpów, Karpidów, Karpodaków, Karpian, a nazwy te

mają widoczny związek z Karpatami. Owi Karpowie — to Chrowaci, Chrobaci, mieszkający na grzbietach gór. Stary jest naród Chrobatów, w dziejach znany przynajmniej od czasów chrześcijańskich. Obok nich wysuwają się Serbowie, których główne siedliska rozciągają się ponad Dniestrem i którzy w tamtym kierunku się rozlewali.

Nazwiska atoli Chrobatów i Serbów były okolicznościowe, miejscowe, nie własne. Rozchodząc się z podkarpackiej krainy, różne pokolenia Chrobatów i Serbów brały nazwy od miejsc. Stąd naprzykład, Chrobaci, nieco na północ mieszkający, wzdłuż Wisły, nazywali się Wiślanami.

Tak więc plemiona Daków, rozszerzając się ku północy, rozradzając się coraz liczniej, oddzielne, a właściwe przybierały sobie nazwiska w długim lat przeciągu, w kolejnych przesiedleniach się po ziemi. Stosownie do tego, na jakiem miejscu się zatrzymali, nazywali się od pól, od łąk, od lasów, od rzek, od morza. Tylko cudzoziemcy, Teutonowie, a za nimi Rzymianie, nazywali ich jednem imieniem, po staremu — Wenedami, albo Wendami. Ponieważ jednak okazuje się, że na tych samych miejscach, na które przesiedlili się i gdzie zniknęli dla dziejów Dakowie, spotykamy dawny, a nie przybyły naród słowiański, to oczywista, że Słowanie dawniej nazywali się Dakami, a raczej, że nazywali ich tak Rzymianie od prowincyi, którą zdobyli.

Nazwisko Słowian po raz pierwszy ukazuje się u Jornandesa, dziejopisa z VI wieku, uczonego biskupa Krotony, rodem Gota.

Wiele jednak wpływało na to powodów, że to nazwisko nie zaraz się utarło, nie zaraz się stało głośnem w świecie. Słowianie, naród różnych miejscowych nazwisk, ale jednoplemienny językiem i pochodzeniem,

siedział od wieków na swoich posadach, lecz cierpliwy bez granic, znosił, że po nim obce narody stąpały; że narody te wybrały sobie jego ziemie za pole do wojen z plemionami, które wdzierały się w środek Europy, w okresie wielkiej wędrówki narodów.

Był z tego powodu zamęt wielki między narodami i uwiecznił się w podaniach dziejowych. Starożytni pisarze niedobrze również odróżniali plemiona, czemu dziwić się nie należy, bo krajów dokładnie nie znali, a o barbarzyńcach z pierwszych lepszych źródeł, często bardzo zawodnych zbierali wiadomości. Najsłynniejszemi były wówczas nazwiska Scytów, Gotów i Hunnów, dostawały się więc łatwo pierwszemu lepszemu narodowi, o którym przychodziła wiadomość. Scytem był każdy, kto przyszedł z dalekiej północy; Hunnem każdy człowiek, koczujący od wschodu; Gotem mieszkaniec zarówno Germanii, jak Sarmacyi. Barbarzyńcy parli się ku Rzymowi, ku Carogrodowi i zabierali nieraz z sobą cząstki miejscowej ludności, które w drodze napotykali. Ale nazwiska miejscowe zawsze przygłuszane bywały słynniejszemi, straszniejszemi dla Rzymian nazwiskami Scytów, Gotów i Hunnów. Słynny wódz Hunnów, Atylla, „Biczem Bożym" zwany, który wysunąwszy się z głębi Azyi, podbił wszystkie ludy Germanii i Sarmacyi, nie tępił narodowości, gdyż ówcześni zwycięzcy tego nie czynili, lecz pociągał je za sobą; łatwo tedy przypuścić, że pomiędzy jego hufcami znajdowali się także Słowianie.

Atylla umarł w 453 r. Wkrótce Herulowie zgnietli zachodnie Cesarstwo Rzymskie, a Herulów z kolei zwyciężyli Ostgotowie, pod wodzą znakomitego króla Teodoryka. Kiedy się ziemie, na północ od Karpat leżące, od tych narodów oczyściły, wówczas wspomniany

dziejopis Jornandes, biskup Krotony, dowiedział się o Słowianach i mówi o nich, jako o nowem w dziejach zjawisku.

Nie nowy to jednak naród przybywał w te strony, w pościgu za innemi zdobyczami, lecz stary się wynurzał z poza mgły dziejowej, do odwiecznych siedzib przywiązany. Teraz otrząsnął się z niewoli, zabłysnął w słońcu. Rzucił jeno nazwisko, którem go obdarzyli dawniejsi uczeni i wystąpił na widownię dziejową pod swojem własnem.

Prawi Jornandes, że wszystkie ziemie, ciągnące się ku północy za Dunajem, a na wschód Wisły, zajął wielki naród Winidów, który wprawdzie, według miejsca i pokoleń, rozmaite nosi nazwy, ale składa się z dwóch plemion: Sklawinów i Antów. Sklawini, to jest Słowianie, zajmowali przestrzenie od Wisły do Dniestru, lesiste i bagniste; Antowie zaś, plemię silniejsze, rozłożyli się od Dniestru za Dniepr, ku morzu Czarnemu. Wschodnie brzegi Wisły nie stanowiły granicy Słowian; rozsiedlili się oni szeroko dalej, za Odrę, sięgnęli aż krain Warnów i Dunów.

Zmiany w nazwiskach narodów, to zjawisko w dziejach bardzo powszednie. Nazwisko nie stanowi narodu i od wielu okoliczności zależy, dzisiaj jest takie, jutro inne. Tylko rozwinięte, ucywilizowane narodowości przywiązują się do swego nazwiska, boć zresztą narody pozostają te same, a nazwiska na nich coraz inne spadają.

W miarę napływu z północy ludu najezdniczego na Cesarstwo Rzymskie, wiele krain zmieniło nazwy. Jedne zwycięzcy przynieśli ze sobą; inne nieświadomi prawdy, uczeni starożytni znanym dawniej narodom nadali. Czasem jaki naród, w danej chwili zwycięski, wcielał

w siebie narody pomniejsze i nazwiskiem je swojem osłaniał. W taki oto sposób znikały nazwiska małych narodów germańskich, zlewając się w jedno spólne, ogólniejsze — Franków, lub Allemanów. Gotowie wschodni i zachodni byli także zlewkiem narodów. Działa się ta zmiana w całej Europie, zwłaszcza w okresie upadku Cesarstwa Rzymskiego. Z kolei przyszedł czas na starożytnych Getów, Daków i Wenedów. Oni również zmienili nazwiska, ale tylko w dziejach pisanych, bo Słowianami pewnie od wieków pomiędzy sobą się nazywali. Uwolnieni od jarzma obcego, zajmując wielkie przestrzenie, skoro wystąpili na widownię dziejową, nic dziwnego, że zasłynęli pod nazwiskiem własnem, bo wprzód znano ich pod nazwiskami, dawanemi im przez Rzymian. Słusznieśmy zatem powiedzieli, że naród słowiański w VI stuleciu wysuwał się z poza mgły dziejowej, która go dotychczas zasłaniała.

Nowe nazwisko Antów najdawniej się ukazało. Lat 200 z górą znajdowali się pod panowaniem Rzymian, znosili przytem jarzmo Atylli, trzymali Grecyę w szachu nad Dunajem, osiedlali się w górnych okolicach Dniepru. Założyli wtedy więcej potężne państwo. Cesarz Justynian dotkliwie im dokuczał. Niema wiadomości, żeby ich jaka obca potęga doszczętnie złamała, a przecież nazwisko ich tak nagle ginie, że nawet Nestor, kronikarz słowiański, który pozbierał stare podania o rozsiedlaniu się ojców naszych na przestrzeni od Wisły do Dniepru, nic o Antach nie wspomina.

Więcej miało szczęścia nazwisko Słowian, zapewne dlatego, że było rdzennie narodowem. W VI stuleciu nagle ogarnęło całe plemię i dało się poznać światu. Nie była to nazwa jakiegoś zakątka ziemi słowiańskiej, bo nie rozszerzyłoby się tak szybko. Nie spostrzegamy

tego w dziejach, żeby z pośród plemienia wysunął się na wierzch jaki pojedyńczy lud, żeby opanował całe plemię, a tylko taki lud panujący mógł imię swoje spółbraciom narzucić. Plemię olbrzymie, na wielkich przestrzeniach zamieszkałe, z patryarchalnem urządzeniem, nazwy swojej nie wymyślało. W chwili natchnienia wytworzyła się ta nazwa i rozpowszechniła. Może to było hasło bojowe, które rozpłomieniło umysł i serce narodu Wyraz słowo jest niezawodnie onem hasłem, onym ogólnym okrzykiem. Wypowiedziane — ogarnęło całe plemię, rozległo się wszędzie, gdzie tylko rozumiano słowo bratnie.

A jednocześnie z tą zmianą nazwiska plemię rozchodziło się na wszystkie strony. Nie ubiegło półtora wieku, a szczep słowiański zajmował już dwa razy tyle przestrzeni, ile zajmował przed 510 r. Zaludnił i użyźnił Europę. Zda się, że prastary szczep tracki, którego słowiański był cząstką, rozlewał się ku północy, bo przecież wychodźtwo Daków również dążyło w tamtę stronę po utorowanej już drodze.

Z początkiem VI wieku kierunek pozornie się zmienia, narody zwracają się ku południowi. Tak jednak nie jest. Plemię słowiańskie wciąż ciągnie ku północy, a jego rozlew, wzrost zależy od warunków danej chwili—od prądów zewnętrznych, od przestrzeni, które przed niem stoją otworem. Plemię, wezbrane w jednem miejscu, musi się rozlać po za szczupłe swoje granice. W wieku VI okoliczności ułatwiły taki rozlew na wszystkie strony. Kruszyły się po nad Słowianami przepływające narody, wędrowały daleko, spływały w jedno wielkie morze, które zatopiło Cesarstwo Rzymskie. Świat, zdawało się, nie miał granic po upadku Rzymu. Krańce Europy, wybrzeża Afryki stały otworem dla zwy-

ciężców. Ale kiedy zwycięscy najeźdzcy wędrowali daleko, Słowianie, osiedleni na swojej ziemi, roszerzali się, rozrastali, zasilali krainy braci nowym napływem, lub też posuwali się powoli, osiedlając się po drodze, usuwając z drogi przelotnych barbarzyńców, obejmując w posiadanie ziemie puste i zmieniając je na ojczyznę słowiańską. Prąd taki, w VI wieku rozpoczęty, trwał nieustannie w VII i VIII stuleciu.

Słowianie, zajmując pustki bezimienne, nazywali je po swojemu; osiadając w ziemiach cudzych, posiadających już nazwy, odrzucali te nazwy obce i swoje nowym siedzibom nadawali. Nazwy wzgórz, rzek, jezior, borów, pól, a zwłaszcza siół i grodów, są tego żywem świadectwem. Rozlewającym się na wszystkie strony braciom stare nazwy w nowych siedliskach przypominały dawną ojczyznę. Grody, grodziszcza, chradyszcza, słowody, osady, w których nazwiskach przebijają się wyrazy gród lub słowo, zjawiają się wszędzie w nowych siedzibach. Stąd pochodzi owo podobieństwo nazw własnych we wszystkich ziemiach słowiańskich. W następnych czasach zwyczaj inne wytwarzał nazwy, świeższe i młodsze. Na całej zresztą przestrzeni, na której odbywał się rozlew słowiański, mało przechowało się nazwisk obcych, niesłowiańskich. Jeno na krańcach odległych ostatni osadnicy nie zacierali dawnych, historycznych wspomnień i nazwisk.

Tak tedy z nad Dunaju posuwała się fala słowiańska, przez krainy Chrobatów i Wiślan. Na północy znajdowali Słowianie resztki dawnych mieszkańców, szczątki pokoleń, które wyrzucali, albo odpychali dalej w świat, albo zwyciężywszy, wcielali w siebie. Tą drogą również, od Karpat, wzdłuż dolnej Wisły, posuwał się szczep Słowian, Lachami, Lechami, Lechitami zwa-

ny od lechy, od łanów pola, które uprawiał. Po drodze spotykali słowiańskich swoich braci nad Pilicą, nad Wieprzem, przy ujściach Narwi. Posuwali się zwolna, w miarę oczyszczania się gruntu z plemion wrogich, w miarę wzrostu ludności.

Z onych to Lechów, czy Lachów inne jeszcze z biegiem czasu wytworzyły się narody. Najważniejszym z nich są, nazwani od pól, Polanie, którzy rozciągnęli się nad Wartą. Wyrajały się z Lachów inne narody, dążąc ku innym stronom, lecz w rozlewie swoim spotykały trudność, bo nad morzem Baltyckiem przesuwały się jeszcze narody niemieckie, a niebawem zaczęły napływać ludy skandynawskie, z za morza. Nastał okres wielkich wstrząśnień. Ludy wychodźcze potrącały się wzajem, wszakże narody niemieckie rozstępowały się przed słowiańskiemi i spływały ku rzymskim granicom, bo Niemcy zawsze woleli grabież i polowanie na ludzi niż spokojne zajęcia rolnicze, pasterskie lub łowieckie. Pustki zajmowali Lachowie pługiem i pracą. W VI wieku dotarli i zajęli brzegi Baltyku i wówczas to rozstrzelili się na cztery szczepy, lecz nie nagle, gdyż na takie rozstrzelenie długiego trzeba czasu. Polanie, najdawniejsza gałąź Lachów, siedzieli nad Wartą i Notecią, wzdłuż do Odry; dalej na wschód, ku Wiśle, po obydwóch stronach tej rzeki, bardzo szeroko, osiedlili się Mazury, Mazowszanie; na północ od Mazurów, wzdłuż Baltyku — Pomorzanie, zwani od morza; za Odrą Pomorzanie przezwali się Lutyczami.

Tak się przedstawia pierwsze osiedlenie i rozgałęzienie plemienia Lachów, które, z biegiem czasu, jeszcze liczniej się rozgałęziło. Pamiętajmyż, że Lachowie przyszli od Karpat, a rozszerzali się w tę i ową stronę głównie od Wisły, rzeki rdzennie narodowej. W górze

Wisły mieszkał naród, któremu ona dała nazwisko; w dole i około ujść naród, który w przyszłości utworzył państwo słowiańskie.

Nie będziemy się rozwodzili o wędrówkach i rozgałęzieniach innych szczepów słowiańskich. Nas obchodzą Lechici, przodkowie nasi; o ich wędrówce od Karpat, rozsiedleniu się i rozgałęzieniu powiedzieliśmy dosyć. Wypada nam teraz opowiedzieć o charakterze Lechitów, ich bycie domowym, prawach, zwyczajach i religii, a to dlatego, żeby podania, które następnie w formę powieściową przystroimy, były należycie przejrzyste, zrozumiałe w każdym szczególe. Nadmienimy, że to, co przeczytacie o Lechitach, stosuje się do wszystkich Słowian, jako do plemienia braterskiego, które, chociaż się rozchodziło w rozmaite strony, odległe jedna od drugiej, jednak charakter i obyczaj przechowało ojczysty po dziś dzień.

Lelewel, jeden z najznakomitszych dziejopisów naszych, bardzo trafnie nazwał rozrojenie się Słowian robotą pszczelną. Rdzenna ich kraina, pod Karpatami, była ulem macierzystym, z którego co chwila w różne strony wychodziły nowe roje ludów. Jakże wielkim był zaiste skutek onych wstrząśnień wewnętrznych, onej roboty pszczelnej... Niezliczoną masę ludności wyrzuciła z siebie owa ziemia rdzenna, macierzysta, morze słowiańskie rozlało się na olbrzymich przestrzeniach. Ale w jaki sposób to się działo — o tem napewno nie wiemy, możemy się tylko domyślać, kierując się pobieżnemi, mglistemi wzmiankami dziejopisów obcych. Dzieje pierwotne rdzennej, macierzystej krainy słowiańskiej osłania jeszcze tajemnica. Lecz lud słowiański wszędzie miał jednakie cechy, po których można go było poznać. Wprawdzie wielka rozciągłość plemienia, pew-

ne domieszanie się w różnych stronach obyczaju obcego spowodowało, że z biegiem czasu mnożyły się różnice pomiędzy braćmi. Po upływie wieku, lub dwóch, innym być musiał Słowianin, mieszkający nad Odrą, a innym Polanin, mieszkający nad Dnieprem — inne prawa, inne bóstwa rozkazywały temu, a inne tamtemu. Ale obok tych różnic, naleciałych z zewnątrz, istniało żywe, niczem niezatarte podobieństwo zwyczaju i obyczaju, będące świadectwem niezbitem braterstwa wszystkich Słowian.

Słowo nasze, mowa, jest najstarszem niemal z pomiędzy języków innych narodów europejskich. Kiedyś, przed trzydziestu kilku wiekami, w pierwotnej ojczyźnie naszej, w Azyi, posiadaliśmy wszyscy jeden język wspólny. Wieków całych było potrzeba na wytworzenie się z jednego pnia różnych dzisiejszych języków, pomiędzy któremi uczeni dostrzegają niewygasłe powinowactwo. Jedne mowy więcej, inne mniej się zmieniły. Nasza najmniej się zmieniła, o czem świadczy wielka jej rozciągłość i jednostajność. Inne języki porozpadały się na przeróżne narzecza i gwary, niezrozumiałe jedna dla drugiej; mowy słowiańskie wszystkie są do siebie podobne, zbliżone. To zarazem dowodzi, że u Słowian trwalej, niż u innych ludów, przechowała się puścizna przodków. Z biegiem czasu, inne języki, przekształcając się, traciły gramatyczne odmiany: jeden tylko słowiański rozporządza wielkim zasobem form. W innych językach spostrzegamy pstrociznę bez miary, wszystko w nich wydaje się być pożyczonem, źle sklejonem: w mowie słowiańskiej wyrazy wiążą się ze sobą logicznie, rozumnie.

Przodkom naszym nigdy nie brakowało słowa na wyrażenie najdelikatniejszego odcienia myśli. Język to

harmonijny, dźwięczny, bogaty, wnioskować z niego można, do jakiego stopnia oświaty doszły mówiące nim pokolenia. Naród cały był przeniknięty słowem, nic więc dziwnego, że słowo dało mu nazwisko historyczne. Plemię całe trzymało się święcie swego słowa, jak pamiątki najdroższej.

Prawdopodobnie ongi, kiedy praojcowie nasi zamieszkiwali nad Dunajem, nazwa ich nieco była odmienna, niż w czasach późniejszych, w okresie rozstrzelenia się ich po Europie. Zetknięcie się z rozmaitemi narodami mogło wpłynąć nieco na czystość mowy, przeistoczyć ją trochę, przekształcić; ale owe obce naleciałości toku jej ogólnego zmienić nie mogły.

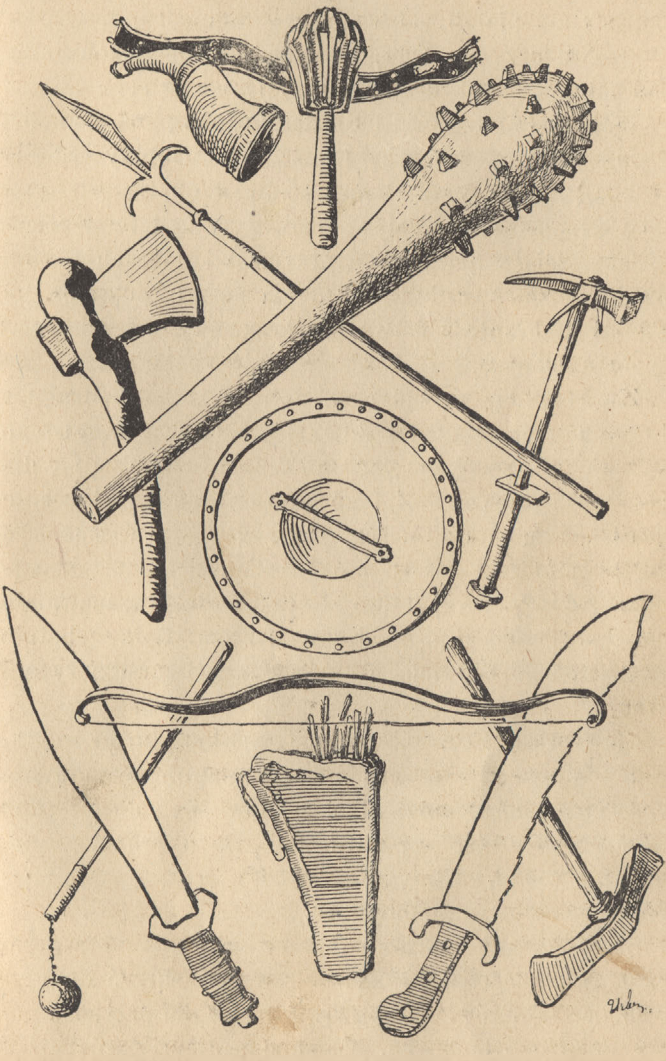
Piękną tą mową porozumiewał się lud przedewszystkiem rolniczy. Mieszkał ów lud słowiański w chatach mizernych, ubogich, po lasach, wśród najniedostępniejszych trzęsawisk, które broniły go przed wrogiem. Las, strumień, pole, zagroda stanowiły całą posiadłość Słowianina. Cudzoziemiec bez przewodnika krajów słowiańskich przebywać nie mógł.

W chatach swoich Słowianie przeróżne zostawiali wyjścia, żeby łatwiej w razie napadu wroga schronić się było można w miejscu bezpieczniejszem. Sprzęty droższe, nawet zboże zakopywali w ziemię. A mieli się czego obawiać, bo w ciągu wielu wieków, dopóki nie wystąpili na widowni dziejowej pod własnem imieniem, dopóki nie zaczęli tworzyć państwa, dopóty deptał po nich każdy naród, który tylko zechciał. Rozległe przestrzenie słowiańskie były polem, po którem harcowali wrogowie władców rzymskich.

Mimo jednak dobroduszności swojej i cierpliwości, Słowianie byli ludem walecznym, nieustraszonym w boju. Już sama powierzchowność męża słowiańskiego o jego

dzielności świadczyła. Zazwyczaj był rosły, silny, ciało posiadał zdrowe, krzepkie, cerę białą, włosy ciemnawe, ani tak białe, jak Niemcy i ani tak czarne jak Grecy, oczy błękitne, muskuły doskonale rozwinięte. Na zimno i gorąco, na głód i pragnienie, na brak odzieży był wytrzymały. Do wszystkiego zastosować się umiał. Nad wszystko przenosił pokój. Sztuki wojennej nie znał długo i dopiero potrzebą przyciśnięty, z nią się zaznajomił. Poznawszy się z nią, zasłynął z męstwa. Chan awarski, znając nieustraszoność Słowian, stawiał ich zawsze na czele swego olbrzymiego wojska.

Praojcowie nasi, nawet widząc zdradę, potykali się mężnie, ginęli po bohatersku. W sztuce wojennej nabyli rychło takiej dzielności, że przewyższyli nią inne ludy. Z biegiem czasu posiedli swój własny sposób potykania się w wąwozach, w miejscowościach błotnistych, ukrywania się w trawie, trwożenia nieprzyjaciela nagłym napadem, urządzania zasadzek. Zwykle uciekali w lasy, pociągając za sobą wroga. Dlatego cesarz rzymski Maurycy zalecał wojować ze Słowianami zimą, kiedy zaspy śnieżne nie pozwalały na szybkie, swobodne obroty, kiedy lasy, ogołocone z liści, nie mogły służyć za bezpieczne schronisko. Proca, dzida, miecz, oszczep, topór, maczuga, kusza, młot, łuk i strzały — oto ówczezna pospolita broń Słowian. Nacierali bez szyku i ładu. Jako zabezpieczenia od ciosów nieprzyjacielskich używali wielkiej, niezbyt ciężkiej tarczy, zbroic nie znali wcale. Walczyli prawie bez odzieży, zaledwie część dolną korpusu i nogi osłoniwszy. Również szczególną posiadali zdolność ukrywania się długo pod wodą za pomocą trzcin wydrążonych, przez których końce, po nad powierzchnię wody wystawione, powietrze do płuc wciągali. Ufali w swoje męstwo. Kiedy chan awarski



Narzędzia wojenne u starożytnych Słowian.

zażądał od nich przez posła, żeby go uznali za pana i haracz mu płacili, odpowiedzieli dumnie:

— Nie uczynim tego, bo nikt nas nie pokona, dopóki miecze hartowne będą istniały na świecie.

Walecznymi tedy byli Słowianie, obok zaś tego był to lud dobry, serdeczny i gościnny. Obłudy, zdrady nie znał, zachowywał dawną ojców w obyczajach prostotę. Łagodny, uprzejmy, nad wygodą i bezpieczeństwem gościa z narażeniem przyjaźni i dobrych stosunków sąsiedzkich czuwał. Kto nie potrafił ochronić gościa od niebezpieczeństwa lub krzywdy, ten wystawiał się na upokorzenie i skarcenie przez spółbraci.

Za krzywdę, wyrządzoną gościowi, łatwo pomiędzy Słowianami przychodziło do wojny. Gościa wszelkiego zwyczaj nakazywał przyjąć serdecznie, szczerze, nic dla niego nie szczędzić. Z tego powodu nawet Słowianie wpadali w złą ostateczność: ubogi, nie będąc w możności przyjąć należycie gościa, mógł bezkarnie okraść bogatszego sąsiada. Ale tylko ta okoliczność zapewniała złodziejowi bezkarność. Kupcy i rzemieślnicy chętnie uczęszczali do Słowian, nie obawiając się kradzieży ani rozboju.

Słowianie traktowali po ludzku nawet jeńców wojennych. Wyznaczali im zwykle czas niewoli; po upływie tego czasu, jeniec mógł albo wykupić się i do ojczyzny wrócić, albo osiąść wśród Słowian, na prawach swobody i braterstwa. Otrzymywał wtedy zagrodę, rolę i zostawał uznany za spółobywatela.

Słowianie nie zamykali domów swoich. Już to samo o ich gościnności świadczyło. Nie znali skrzyń zamczystych, ani kluczów. U bogatszych stół dla przyjęcia gościa zawsze był gotowy. Gospodarz każdy miał izbę osobną, wciąż zastawioną jadłem i napojem, których

nigdy nie ubywało. Bogactwo onej zastawy zależało od zasobności kraju. U Pomorzan naprzykład, gość znajdował wszelkiego rodzaju zwierzynę: jelenie, bawoły, konie dzikie, dziki, niedźwiedzie, a nadto obfitość legumin wszelkiego rodzaju.

Matka przyroda szczodrą szafarką była dla Słowian. Lasy dostarczały im zwierzyny, grzybów, owoców; pola zbóż, łąki paszy dla bydła; rzeki i jeziora ryb; pszczoły zaś ulubionego miodu. Co do miodu, otrzymywali go Słowianie początkowo z plastrów dzikich pszczół leśnych, a następnie z umyślnie urządzanych przy sadybach pasiek. Pszczelarstwo praojcowie nasi osobliwie sobie upodobali. Z biegiem czasu tak się ono u nich rozpowszechniło, że stało się niemal cechą narodową. Pasiekę spotkałeś przy każdej zagrodzie, a miód był nieodzownym przy każdej uczcie. Gdzie się zjawiał miód na stole, tam z pewnością znajdowali się Słowianie. Pili zaś ów miód z rogów wołowych, lub bawolich, zdobnych rzeźbą, lub kruszcem drogim. Rogi owe służyły im także jako instrument muzyczny, lecz więcej rozpowszechnionem narzędziem muzycznem była gęśl. Znalazłeś ją w każdym zakątku ziemi słowiańskiej.

Życie domowe w rodzinie słowiańskiej oparte było na stosunkach patryarchalnych. Ojciec był niejako dla rodziny królem, władzę i powagę zapewniała mu świętość obyczaju. Rządził zaś rodziną łagodnie, wyrozumiale, sprawiedliwie, z dobrocią, jak owi patryarchowie, o których nam Pismo Święte opowiada. Małżonkowie słowiańscy słynęli z wzajemnego do siebie przywiązania. Żony do tego stopnia przywiązanie dla mężów posuwały, że zdarzało się często, iż owdowiawszy, dobrowolnie skazywały się na śmierć, to jest wstępowały dobrowolnie na stos, aby spłonąć żywcem, razem z cia-

łem zmarłego małżonka, zwłoki bowiem zmarłych praojcowie nasi palili na stosie, o czem niżej powiem trochę więcej. To poświęcenie się niewiast dla zmarłych małżonków godne jest podziwu.

Jak się zdaje, praojcowie nasi byli mniemania, że małżonkowie przechodzący na inny świat, ów zagrobowy, razem, doznawać tam będą większej szczęśliwości. To tłómaczy poświęcanie się niewiast dla zmarłych małżonków, a także i tę okoliczność: dlaczego obyczaje Słowian były wielce skromne, niewinne, kierowane roztropnem umiarkowaniem.

Tu należy dodać, że kobiety u Słowian nie doznawały poniżenia, jak u innych ludów; przeciwnie—poważano je, otaczano szacunkiem, a nawet czcią, zwłaszcza matki rodziny. Kobieta słowiańska mogła nawet wywyższyć się po nad braci, jeśli posiadała zalety po temu. Mocą rozumu, lub siłą fizyczną nieraz zdobywała wpływ i znaczenie. Dziewicom słowiańskim rodzina zostawiała zupełną swobodę. Przestawały one, na igrzyskach, zgromadzeniach publicznych, podczas uroczystości i obrzędów, z młodzieżą poufale, a zawsze z godnością, zawsze skromnie.

Jak rodzina, tak też całe plemię słowiańskie rządziło się patryarchalnie. Każda rodzina, wzięta w znaczeniu obszerniejszem, to jest w znaczeniu rodu, w znaczeniu całego pokrewieństwa wszystkich linij, stanowiła małą rzeczpospolitę, a raczej własną gminę. Gminy takie przez wieki całe żyły w spokoju, chyba jaki nieprzyjazny cudzoziemiec napaścią swoją spokój ów zamącił. Przełożeństwo w gminie miał najstarszy z rodu, którego rozmaicie nazywano, stosownie do okolicy: starcem, żupanem, władyką, kneziem, lub kniaziem. Żupanów spotykamy więcej w południowej Słowiańszczyźnie; kne-

ziów i kniaziów w północnej i wschodniej. Tedy południowy kraj słowiański dzielił się na żupy; północny i wschodni na kneźna, który to wyraz przetworzył się z biegiem czasu na gniezno; stąd niektórzy uczeni wnioskują, iż wyraz gniezno, oznaczający siedzibę knezia, kniazia (księcia), przetworzony został z wyrazu gniazdo, a na poparcie tego wniosku przytaczają jedno z podań dziejowych. Z podaniem tem niebawem się poznamy.

Po śmierci przełożonego gminy (żupy, kneźna, gneźna) miejsce jego obejmował brat, lub syn najstarszy. Dlatego w najdawniejszym zabytku piśmienictwa czeskiego, t. z. „Rękopisie Królodworskim", czytamy: „Jeżeli umrze głowa rodu, natenczas wszyscy potomkowie władną spólnie majątkiem, wybrawszy sobie z rodu swego władykę." Bracia młodsi nic na tem nie tracili, jeżeli starszy nimi rządził, a nie ojciec. Bezpieczeństwo mieli równie jak przy ojcu zapewnione. Bratu starszemu natomiast przybywało pracy, jakiej przedtem nie miał, ale do niej zawczasu się wdrażał. Pilnował tedy spraw gminy, wszyscy do niego się zwracali, on rozkazy wydawał, wyznaczał prace, rozdzielał żywność i odzież, sądził i wyrokował. Lecz wszystkie jego rozporządzenia wtedy dopiero nabierały mocy, kiedy zgodzili się na nie wszyscy członkowie gminy.

Oczywiście, że taki tryb rzeczy nastręczał powody do waśni i sporów. Często, naprzykład, brat młodszy uważał się za skrzywdzonego wyrokiem, nowemu opierał się zwierzchnikowi, którego jednak czcił, jak ojca, i odwoływał się do sądu braci. Jeżeli i oni go potępili, musiał albo ukorzyć się przed wolą ogólną, albo ustąpić z gminy. Jeżeli zaś, co także się zdarzało. inni członkowie gminy stawali po stronie opierającego

się wyrokowi zwierzchnika, wówczas gmina mogła się rozpaść na dwie mniejsze. Zwykle jednak zwierzchnik ustępował przed wolą ogółu. Istniały wówczas wszędy obszary puste, zdatne do urządzania sadyb ludzkich, obfitujące we wszelkie potrzeby życia, przeto rozdzielanie się rodzin i gmin musiało zdarzać się często.

W wypadkach nadzwyczajnych, gminy (t. j. żupy, lub gniezna) łączyły się z sobą, wybierając spólnie wielkiego żupana, lub knezia, który miał władzę nad ich zwierzchnikami (t. j. żupanami, lub kneziami). Jeżeli zjednoczenie się gmin spowodował interes dobra ogólnego, w takim razie owe zespolone gminy nie mąciły spokoju sąsiadom-ziomkom, nie zagrażały ich bezpieczeństwu. Inaczej się działo, jeżeli połączenie rzeczone wywołała chciwa władzy jednostka. Wówczas wybuchały wojny domowe. Cele samolubne, pragnienie wywyższenia się, panowania, rozbudzały się za przykładem cudzoziemców, którzy w miarę rozwoju cywilizacyi, w miarę postępu oświaty, tworzyli u siebie rządy stałe. Zdarzało się, że przechodni zdobywca zburzył spokój słowiańskiego ula, wywołał zmianę porządku, zagarnął władzę zwierzchniczą nad częścią Słowiańszczyzny, nad kilkoma, lub więcej gminami i rządził niemi despotycznie, samowolnie, bez udziału narodu. Trwało to jednak niedługo; gminy pozbywały się despoty i stosunki patryarchalne znów odzyskiwały moc swoją.

Jeżeli istotna potrzeba, wzgląd na bezpieczeństwo ogólne wywoływały zespolenia się gmin i co za tem idzie, wytwarzanie dostojeństw narodowych, zwierzchniczych, wówczas sprawy, dotyczące gmin zespolonych, rozstrzygały się na tak zwanych wiecach, t. j. na zgromadzeniach publicznych. Głosowali wtedy sami żupani, lub knezie. Uchwałom wiecowym wszakże nie zawsze pod-

dawały się gminy. Chyba wojna groziła — w takim razie wyłączać się od spólnego, zgodnego działania było występkiem.

Przygotowując się do wojny, praojcowie nasi wybierali wodzów, których bardzo trafnie nazywali wojewodami, t. j. dowódcami wojów, wojowników. Rzecz szczególna jednak—i wtedy, obawiając się o wolność swoją, ograniczali bardzo władzę onych czasowych wojewodów, a nawet nie zawsze podczas bitwy ich słuchali. Po wojnie wracali do domów, każda gmina do siebie, władza zwierzchnia wojewody się kończyła.

Bywało przecież, że wojewodowie na polu bitwy zyskiwali sławę nadzwyczajną, a wówczas blask jej uszlachetniał nietylko ich osoby, ale całą rodzinę, całą gminę. Według mniemania ogólnego, niezwykle waleczny i niezwykle szczęśliwy w bitwach wódz, musiał być jednocześnie mądrym niezwykle. Taki wojewoda nawet po wojnie utrzymywał wpływ na spółbraci. Chociaż wrócił na dawne, skromniejsze stanowisko przełożonego gminy tylko swojej, chociaż trwał spokój, mimo to członkowie gminy zwracali się do niego, zdawali się na jego sąd. Trzeba zauważyć, że ów słynny z waleczności, szczęścia w wojnach, z mądrości mąż, odznaczał się także możnością, gdyż wojewoda otrzymywał zawsze część największą łupów wojennych, a możność również otaczała go pewnym blaskiem, wyróżniała z pośród spółbraci. Jeżeli syn takiego męża odziedziczył zalety swego ojca; jeżeli zwiększył własnemi czynami sławę swoją i rodu: nic dziwnego, że coraz bardziej utrwalał wpływ swój wśród gmin sąsiednich i dalszych nawet.

W ten oto sposób wojewodowie stawali się nietylko przywódcami w wojnach, ale także najwyższymi sędziami w czasie pokoju. A prawo najwyższego sądu w gmi-

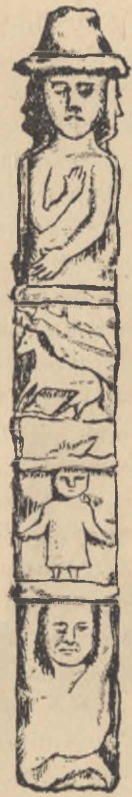
nach patryarchalnych było jednocześnie prawem władzy najwyższej. Wprawdzie taki znakomity mąż nie rozstrzygał o wszystkiem stanowczo, mimo to szanowano go i słuchano. Chyba że nadużywał swego wpływu, nieszczęścia sprowadzał na gminy. Wtedy odwracano się od niego.

Praojcowie nasi, za pomocą obrzędów rozmaitych, przypominali zwierzchnikom, których wybierali, źródło ich władzy, obowiązki, znaczenie gmin. Tak naprzykład zgromadzali się w lesie, dokoła wielkiego, mchami porosłego kamienia, na którym zasiadał rolnik, jakby na tronie. Do onego rolnika, będącego wyobrażeniem woli narodu, zbliżał się wybrany wojewoda, przyodziany najbiedniej i zaprzysięgał przed nim, że będzie bronił wiary ojców, sierot, wdów i sprawiedliwości. Po tej przysiędze, rolnik usuwał się z kamienia, natomiast siadał na nim wojewoda, wszyscy zaś zaprzysięgali mu wierność. Podczas obrzędu rzeczonego, dwie najznamienitsze rodziny wszędzie żęły zboże i pasały trzody na znak i na pamiątkę, iż praojcowie słowiańscy wybrali pierwszego zwierzchnika dlatego, żeby ich bronił od grożącego nieprzyjaciela. Widzimy tedy, że władza u Słowian zawsze była zacną, ojcowską, posiadała za cel nie korzyść osobistą jednostki, lecz opiekę nad ludem, dobro ogólne, obronę nieszczęśliwych i upośledzonych.

Rozpatrzmy się jeszcze w wierze praojców naszych, w ich religii.

Czcili oni jednego tylko boga, stwórcę najwyższego wszechrzeczy, niewidzialnego, wszechmocnego, który wszystkiem władał na tym świecie doczesnym i w świecie zagrobowym. Boga owego nazywali rozmaicie, stosownie do okolicy. Więc tu nazywali go Belbogiem, to jest bogiem Białym, widzieli w nim rozdawcę do-

bra i światła; owdzie nazywali go Jesse, co znaczy jasny, albo ten, który jest; nazywali go jeszcze: Nija Stworzyciel, Świętowid, Radegast. Były to zatem nazwy jednego boga; ponieważ atoli każda brzmiała inaczej, przeto zrodziło się mniemanie, jakoby Słowianie uznawali i czcili wielu bogów. Mniemanie wręcz niesłuszne. Bóg u Słowian — powiada Bartoszewicz — był jeden, wielki, potężny, władca niebios, z którego przecież spływało także wszelkie dobro na ludzi, dobro ziemskie, bo Biały ten bóg nietylko samemi zajmował się niebiosami, ale zajmował się również sprawami ziemi. Temu bogowi praojcowie nasi cześć składali i ofiary nieśli. Z początku nie budowali mu świątyń, powstały one w czasach późniejszych, a nazywano je chramami, kontynami i t. p. We wszystkich okolicznościach życia szukali u Białego boga pomocy, sądu, wyroku, modlili się do niego z wiarą.



Wierzyli też praojcowie nasi w istnienie duchów, tworów niewidzialnych, dobroczynnych, lub złych, niegodziwych. — Snuły się one twory wszędy — po lasach, puszczach, panowały nad jeziorami, strumieniami i rzekami, nad ludźmi i nad ziemią. Miały w sobie coś boskiego, przeto zyskiwały cześć pewną. Myśl słowiańska chętnie unosiła się w świat niewidzialny, nadzmysłowy, więc łatwo tworzyły się i mnożyły przesądy, gusła, zabobony. Słowianie wymyślali przeróżne obrzędy, dla uczczenia duchów dobrych, przeróżne sposoby, celem

ustrzeżenia się złych, szkodliwych, które umyślnie się taiły, żeby przykrość ludziom wyrządzać. Takim złym duchem był szeroko znany w Słowiańszczyźnie Czarny bóg, przeciwieństwo ze źródłem dobra i światła—z bogiem Białym. Złe nie istniało w niebie, istniało tylko na ziemi, pomiędzy ludźmi, jako dopuszczenie boga potężnego, pana wszechświata.

Z rozkrzewieniem się przesądów i zabobonów, duchy słowiańskie przybierały cechy bóstw, które jednak w znaczeniu ścisłem bóstwami nie były. Strugali nawet nasi praojcowie bałwany z drzewa, lecz to pewna, że nie oddawali im czci. Bałwany były tylko wyobrażeniem boga, wyobrażeniem, znakiem jego potęgi. Żywiołów praojcowie nasi nie zaliczali do bóstw, jak również nie zaliczali do nich żadnego stworzonego przedmiotu, martwego, ani żywego. Inne narody czciły ziemię i wodę, słońce i gwiazdy, księżyc i piorun; Słowianie nie uważali tego wszystkiego za bóstwa. U nich piorun czci nie odbierał, jeno twórca jego —bóg.

Ów niezliczony poczet duchów, unoszących się niewidocznie wśród świata, składał się z istot przeróżnych, a każda z nich właściwe nosiła nazwisko. Nazwiska te zmieniały się, stosownie do okolic—tu nazywano danego ducha tak, owdzie inaczej. Znaczenie, charakter owych istot niewidzialnych można wyrozumieć z nazw. Tak tedy istniały u Słowian: Pogoda i Nehoda, duchy spokoju i niezgody; istniała Wietrznica lub Witernica, co się bądź miotała gniewnie, bądź też łagodnie, pieszczotliwie igrała w powietrzu; istniał Pogwizd, Poświst—wicher huczący po polach; Lel, Polel wyobrażał deszcz i ulewę; duch Żywie był dawcą, źródłem życia; Ziewonia, Ziewiena (mylnie przeinaczone przez niektórych uczonych na Dziewannę) miała również powinowactwo

z życiem, bo była opiekunką siewu, wzrostu zboża, urodzaju; Zezilia, Zizilia (mylnie również przeinaczone przez uczonych na Dzidzilię) wyobrażała smętek, żal, tak samo, jak zuzula (jaskółka) dziś jeszcze w pojęciu ludu wyraża tęsknotę, boleść, smutek; istniała wreszcie Marzanna, duch śmierci, oraz pokrewne jej Zmory czyli Mory.

Pomiędzy duchami więcej było złośliwych, niż złych w całem znaczeniu, więcej szkodnic, niż szkodników. Psociły one podróżnym, wprowadzały ich na wertepy i bezdroża, stawiały im rozmaite przeszkody. Miały nawet miejsca pewne, w których się zgromadzały.

Widzimy, że słowiański świat nadzmysłowy, również jak grecki, był pełen życia, ludzie ustawicznie mieli z nim stosunki. Ale gdy bujna fantazya grecka z duchów potworzyła bóstwa, powymyślała cudaczne ich historye, obdarzyła je namiętnościami ludzkiemi, odzierając tym sposobem z uroku świętości: Słowianin, w prostocie swojej przestawał blizko ze swoimi duchami, dobrych wzywał do pomocy, złych i szkodliwych wystrzegał się pilnie. Grecy wierzyli w Los i Przeznaczenie, ludzie u nich walczyli z bogami, mścili się za nich, za doznaną obrazę, lub boleść, i ogółem biorąc, niebardzo się ich obawiali. Słowianie czcili swoje bóstwo, gdyż wierzyli, iż ono ich obdarza wszystkiem, a przeciwności, jakich doznawali od duchów, uważali za zwykłe, nieuniknione przygody życia.

Wreszcie Słowianie mieli szlachetniejsze, niż inne narody pogańskie, pojęcia o duszy. Wierzyli w jej nieśmiertelność. Wierzyli, że po zgonie człowieka ciało jego wraz z duszą przechodzą do lepszego świata, gdzie istnieje samo dobro i szczęście, gdzie mieszka bóg Biały, a Czarny przystępu niema. Zapewniali, że można widzieć dusze wstępujące tam, w świat lepszy. Według

ich mniemania, nie było różnicy pomiędzy duszami złych i dobrych, wszystkich przyjmował do krainy dobra i szczęścia Nija, strażnik onej krainy. Palenie się żywcem żon wraz z ciałem zmarłych małżonków, dowodzi wiary Słowian w nieśmiertelność duszy.

Praojcowie nasi świątyń, jak nadmieniliśmy już wyżej, z początku nie stawiali, bo wierzyli w obecność na każdem miejscu swego bóstwa potężnego. Nie istniał u nich oddzielny stan kapłański, gdyż obrzędy religijne wypełniane były przez ojców rodzin. Ofiary składali na kamieniach, wśród lasów, pod konarami odwiecznych dębów. Owe kamienie ofiarne ogradzali dokoła, w pewnej odległości, innemi kamieniami; przestrzeń tak ogrodzona była miejscem świętem.

W niektórych okolicach wznosili z głazów olbrzymich ołtarze znacznych rozmiarów, pragnąc tym ogromem wyobrazić potęgę i wielkość swego bóstwa. Owe gmachy kamienne, do skał wysokich podobne, trwały bez uszkodzenia przez wieki. Z biegiem czasu wytworzyły się o nich legendy, jakoby dziełem boga były. Ale bo też nielada kunsztu i siły nadzwyczajnej wymagało wzniesienie takich olbrzymów; sprawiały one w rzeczy samej wrażenie dzieł nadludzkich.

Każda wiara posiada sobie właściwe obrzędy i nabożeństwa, posiadała je także religia Słowian. Do głównych tedy obrzędów należały przedewszystkiem postrzyżyny. Dokonywano tego obrzędu na dzieciach z wielką uroczystością. Przystrzygano im włosy nad czołem i tym sposobem wprowadzano je w świat, do społeczności. Obrzęd weselny poprzedzały zmówiny (dzisiejsze swaty, dziewosłęby), zrękowiny (zaręczyny), a kończyła zabawa i uczta. Do upatrzonej dziewoi przybywał naprzód młodzian konno i zbrojno; jeżeli został przyjęty, skła-

dał podarunki; następnie, w dzień oznaczony porywał dziewoję, prowadził z orszakiem zbrojnym na miejsce, gdzie sobie wzajem wiarę małżeńską ślubowali. Korowaje, to jest chleby weselne, spożywano podczas uczty w gronie rodziny i przyjaciół.

Pogrzeb również odbywał się wśród licznego zgromadzenia rodziny, przyjaciół, z nieodłącznemi płaczkami, to jest niewiastami w szatach białych. Zawodziły one płaczki rozgłośnie, a łzy roniły w małe naczynia, łzawnicami zwane. Potem na cmentarzysku układali stos drzewny, na nim umieszczali zwłoki zmarłego z jego ulubionym koniem i orężem, często wraz z małżonką nieboszczyka. Wszystko to płonęło razem. Spopielone zwłoki umieszczano w urnach, t. j. garnkach glinianych, a w czasach późniejszych w naczyniach miedzianych, lub szklanych, razem ze łzawnicami, posążkami i monetami. Urny grzebano w ziemi. Niekiedy mogiły oznaczali stosem kamieni i otaczali palisadą. Po pogrzebie następowała uczta wesoła... Radowali się, że dusza skończyła żywot pełen trudu i boleści, a rozpoczęła żywot pokoju i szczęścia. U niektórych Słowian obrzęd pogrzebowy uświetniano rodzajem turniejów, popisywaniem się siłą i zręcznością.



Nie wszędzie grzebano urny z popiołem ciał zmarłych w ziemi, lecz stawiano na słupach, w pobliżu dróg, żeby ich widokiem przypominać żyjącym o znikomości do-

czesnej. Pod koniec zimy i na początku wiosny, rodziny udawały się przed świtem z pochodniami na cmentarzysko i tam składały ofiary dla umarłych. Wtedy również topiono w rzece lub jeziorze bałwana ze słomy, wyobrażającego śmierć, a obrzędowi temu towarzyszyły pieśni uroczyste. Praojcowie nasi serdecznie czcili pamięć zmarłych.

Kiedy w zimie zaczęło dnia przybywać, Słowianie obchodzili święto Kolady. Wówczas po gościńcach i gajach rozbrzmiewały okrzyki: — Lado! Lado! — wszyscy, starzy i młodzi, wesoło pląsali, wziąwszy się za ręce, tym sposobem czcząc bożyszcze Lado, krzewiciela zgody, miłości i związków małżeńskich.

Inne święto, Kupały, przypadało w dni najdłuższe, na początku lata. Płonęły wtedy niezliczone ogniska po ziemiach słowiańskich, pląsano dokoła tych ognisk, skakano przez nie, śpiewając rozgłośnie. W święto Kupały odbywano wróżby, zażywano kąpieli w rzekach, zbierano zioła lecznicze. Noc Kupały pełną była zjawisk czarodziejskich. Widziano blaski srebrzyste, ślizgające się po powierzchni wód; drzewa przechodziły z miejsca na miejsce, gwarząc z sobą za pomocą szmeru gałęzi. W noc ową, o samej północy, kwitła paproć, lecz kwitnienie trwało chwilkę jeno. Kto zdołał upilnować tę chwilę i kwiat paproci zdobyć (a musiał się oprzeć przeróżnym pokusom i strachom wielkim!) ten widział wszystkie skarby zakopane w ziemi i pogrążone w morzach, rozumiał mowę każdego stworzenia, wszystko mu się wiodło najpomyślniej. W noc Kupały wreszcie słońce wyjeżdżało ze swego pałacu na trzech koniach: srebrnym, złotym i dyamentowym, udając się na spotkanie miesiąca. W drodze tańcowało, a podczas pląsów rozsypywało po niebie iskry płomie-

niste. Zabytkiem święta Kupały są po dziś dzień przez lud nasz obchodzone Sobótki.

Mniemali Słowianie, że zima to czas nocy dla dusz, których ciała poumierały. Z nadejściem wiosny kończyła się owa noc dusz, wtedy dusze budziły się do nowego życia, w krainie światłości. W święto pierwsze Kolady dusze błąkały się po świecie i straszyły żyjących. Z tem mniemaniem miało związek święto Rusałek. Rusałki nie należały do duchów wodnych, jak mylnie mniemają niektórzy, wyprowadzając ich nazwę od wyrazu r u s ł o (łożysko rzeki). Nazwa ta pochodzi od wyrazu r u s y, co znaczy: jasny, piękny. W Rusałkach praojcowie nasi widzieli dusze umarłych, które zjawiały się na ziemi o wiośnie, żeby się nacieszyć życiem, odnowieniem przyrody. Zjawiały się one w chwili, kiedy na łąkach ukazywała się pierwsza zieloność, kiedy po onej zieloności łącznej spływały pierwsze wody wiosenne, kiedy wierzbina rozwija pączki. Piękne były, lecz blade, mgliste. Ognie, wytryskujące z mogił, uważano za ognie Rusałek. Mieszkały one Rusałki w rzekach i innych wodach, a na brzeg wychodziły tylko dla zabawy. Pląsały wtedy na wybrzeżach, najchętniej zaś skakały po drzewach, lub kołysały się na ich konarach.

Słowianie, lud wesoły, wolny, szczęśliwy, korzył się przed potęgą swego wielkiego boga, którego należycie wyobrażać nie umiał w żadnej postaci dotykalnej. Żył ustawicznie z praojcami, za pomocą tradycyi, słowem utrwalanej. Przestawał poufale z tłumem otaczających go od kolebki do grobu duchów. Fantazya tego ludu, jak on sam spokojna, łagodna, wesoła, nie tworzyła wstrętnych straszydeł. Rządził się Słowianin zawsze uczuciami wzniosłemi, szlachetnemi. Oczywiście, na olbrzymiej przestrzeni, jaką zajmował z biegiem czasu,

wskutek ścierania się z ludami obcymi, musiały się zjawić inne uczucia i wierzenia; ale w pierwszej dobie dziejów, właściwiej zaś mówiąc, w ich zaraniu, lud to był jednej mowy i jednych pojęć. Spółplemienność słowiańska, jakby w powietrzu po całej Słowiańszczyźnie rozlana, każdego uderzyć musi. Brat z najdalszego zakątka znajdował u braci pomoc, znajdował rodzinę i i swobodę.

Jest to niejako tło, na którem się odtworzy nasze podania dziejowe.

24.000.–

12.000
896/91